

PAWEŁ KĘSKA

Z POMOCĄ DLA „S” BOŻENA ŁASKIEWICZ

Jesteśmy w Londynie, w Polskim Ośrodku Społeczno-Kulturalnym. Rozmawiamy z Bożeną Łaskiewicz, prezesem Fundacji Medical Aid for Poland. W latach osiemdziesiątych, kiedy po okresie Solidarności zapadła noc stanu wojennego, Fundacja wysłała do Polski ponad dziewięćdziesiąt trzydziestotonowych tirów z pomocą medyczną. W kolejnych latach, do roku 1989, przyjechało kilkaset kolejnych tirów. Jak zaczyna się Pani historia?



■ BOŻENA ŁASKIEWICZ PRZYGOTOWUJE TRANSPORT POMOCY DLA POLSKI, LATA OSIEMDZIESIĄTE.
FOT. ZE ZBIORÓW MEDICAL AID FOR POLAND FUND

Nie było mi dane urodzić się w Polsce. Za to urodziłam się tam, gdzie Chrystus, w Palestynie. Mój ojciec był profesorem laryngologii w Poznaniu. Kiedy wybuchła wojna, trafił do Rumunii, do obozu internowanych, potem do Iraku. Moja mama z kolei mieszkała w Krakowie na osiedlu oficerskim. We wrześniu '39 jakiś żołnierz szukał drogi, bo szedł z rozkazami, i mama powiedziała, że go zaprowadzi. Wpadła do domu, żeby powiedzieć, że nie będzie na obiedzie, a jej mama mówi: – Dziecko, czy ja cię jeszcze zobaczę? I już się nigdy się nie spotkały... Była ewakuacja i moja mama poszła z tym wojskiem. Część wpadła w ręce Sowieców, reszcie udało się ewakuować do Rumunii. Mama trafiła do obozu internowanych. Na 11 listopada szykowali akademię. Kapitan Adam Kowalski z tej okazji napisał słowa pieśni: „O Boże, któryś jest na niebie... wyciągnij sprawiedliwą dłoń”. Wyłączyli prąd i więźniowie 11 listopada przy świecach pierwszy raz śpiewali tę pieśń. Kuzyn mamy był konsulem w Bułgarii i wyciągnął ją z obozu. Przez Turcję dopłynęła do Hajfy. Rodzice poznali się w Jerozolimie. Pobrali się w Domu Polskim i zamieszkali w Tel Awiwie. Tam się urodziłam w 1942 r., ale ochrzczona byłam w bazylice Narodzenia Pańskiego w Betlejem. Jest tam taki zwyczaj, że po chrzcie zabiera się dzieci do Groty Narodzenia i kładzie się na tej gwiazdzie [miejscu narodzenia Jezusa Chrystusa]. Tak się zaczęła moja historia.

Jakie są pierwsze obrazy, które pamięta Pani z dzieciństwa?

Moje pierwsze wspomnienie w życiu to – jak z mamą siedziałam na schodach, na tyłach jakiejś kuchni, bo był nalot. To był chyba czterdziesty czwarty. Przez długie lata, nawet już po przyjeździe do Anglii, to coś we mnie drgało, kiedy słyszałam nisko latające samoloty.

Jak wyglądało życie w Tel Awiwie?

W Tel Awiwie było polskie przedszkole i żyliśmy tam bardzo polskim życiem. To dla mnie było przejmujące jak mama nas wiosną i jesienią brała na plażę w Tel Awiwie i mówiła: – Patrzcie, te bociany lecą do Polski. To była dla mnie taka świętość. Do dziś mam do bocianów wielką sympatię. Wszystko można było załatwić po polsku, bo większość Żydów była z Polski i oni byli bardzo życzliwi. Potem przyjechali żołnierze od Andersa, ci wydobyli z Rosji, którzy później walczyli pod Monte Cassino.

Kiedy Pani rodzina opuściła Izrael? Bo to już był Izrael...

Po Jałcie Anglicy zaczęli się wycofywać z różnych stron świata, z Indii, ale i z Izraela. Wtedy Arabowie uderzyli na to wolne państwo Izrael. Pamiętam zasieki z drutów kolczastych, godziny policyjne. Wyjechaliśmy z ostatnim transportem brytyjskim. Płynęliśmy

promem przez Kanał Sueski do Egiptu. Potem, w grudniu wsiedliśmy na statek, który płynął z Indii, przez Bliski Wschód, do Anglii. W grudniu była na statku wigilia. Angielskie dzieci dostawały piękne zabawki, a nam dawali czekoladowe batoniki. Wówczas zupełnie nie rozumiałam, że my jesteśmy inni. Przez Atlantyk dopłynęliśmy do Liverpoolu. Trafiliśmy do obozu przejściowego w północnej Anglii. Pamiętam, że wtedy była zima tysiąclecia. Pierwszy raz widziałam śnieg. W końcu przenieśliśmy się do Londynu. Ojcu uznano dyplomy, a ja we wrześniu zaczęłam szkołę. Po angielsku umiałam tylko powiedzieć „good morning”. Robiłam jednak szybkie postępy i na koniec roku dostałam nagrodę. Po podstawówce dostałam się do szkoły Notre Dame de Sion, czyli do jednej z najlepszych w Londynie szkół dla dziewcząt.

Jak to było w tym czasie być Polakiem w Londynie?

W domu zawsze mówiliśmy o po polsku. W tygodniu chodziłam do angielskiej szkoły, a w sobotę do polskiej, która właśnie zaczynała działalność. Ta szkoła to był jeden pokój i dwie grupy, starsza i młodsza. Pamiętam do dziś, jak pani uczyła nas wiersza Norwida: „...do kraju tego”. Zaczęły się polskie Msze. Był kościół na tak zwanej Dewonii. Potem były też Msze u oratorianów na South Kensington. W tym czasie przeżyliśmy śmierć króla i koronację królowej. W Londynie wstąpiłam do gromady zuchowej, a potem zaczęła się moja przygoda z harcerstwem.

Która trwa do dzisiaj?

Tak jest. Wstąpiłam do drużyny „Wisła”, założonej w Londynie przez drużnę Helenę Grażyńską w 1933 r. Przeszłam tam przez wszystkie funkcje. Należałam do drużyny „Jantar”, założonej przez drużnę Jadzię Chruściel, córkę gen. Chruściela „Montera”. Na jej ręce w pięćdziesiątym szóstym roku w ogrodach Instytutu Generała Sikorskiego składałam przyrzeczenie. Potem byłam sekretarzem Głównej Kwatery. Do dziś jestem w Głównej Kwaterze. W harcerstwie żyliśmy Polską, mówiliśmy tylko po polsku. Jak zuchy miały na sumieniu jedno słowo po angielsku, to musiały płucać usta solą, a my za angielskie słowa płaciliśmy na zbiórkach pensy. One jeszcze miały wartość. Mieliśmy polskie parafie, polskie zespoły taneczne, polskie szkoły...

Jak to się stało, że wybrała Pani medycynę?

Tradycje medyczne w mojej rodzinie są długie. Jestem piątym albo szóstym pokoleniem. Ojciec laryngolog, dziadek pulmonolog, pradziadek był ginekologiem i trochę psychiatrą. Nikt mnie nie wysyłał na medycynę, ja po prostu czułam, że to jest to, co chcę robić.



Zawsze lubiłam majsterkowanie, działanie nie tylko intelektem, ale i rękami. Chirurgia mi się podobała, zajęłam się więc laryngologią, chirurgią głowy. Chciałam się dostać na uniwersytet medyczny w Londynie, ale nie było dla mnie miejsca. Dostałam się jednak do Dublina w Irlandii.

Jak wy, młodzi Polacy w Londynie, myśleliście o Polsce? Bywaliście w kraju?

Mama bardzo chciała wracać do Polski. Ci, którzy wrócili po wojnie, mieli bardzo trudno i nie zawsze przeżyli ten powrót. Ale w końcu mama w sześćdziesiątym roku pojechała sama, a w sześćdziesiątym pierwszym zabrała mnie i moją siostrę. To było wielkie przeżycie. W Polsce były jeszcze ślady wojny. Pamiętam ciemne, odrapane kamienice, naszpikowane śladami kul. I nagle ta Legenda jest rzeczywistością. Przyjechalśmy pociągiem do Poznania, potem do Warszawy. To były wakacje, sierpień, pamiętam ślady po miejscach rozstrzeliwań. Wtedy jeszcze zamek był w ruinach. Pojechalśmy do Krakowa, w góry, nad morze, byliśmy w Gdyni, Gdańsku.

Emigracja czekała na moment przemiany w Polsce. W 1980 r. nadeszła Solidarność. To było dla was szokiem?

Kiedy w sierpniu osiemdziesiątego roku zaczęły się w Polsce strajki, to wszyscy obserwowaliśmy brytyjskie media. Słuchało się też Wolnej Europy. Ja byłam przerażona. Wydawało mi się, że robotnicy żądają za dużo naraz. Siedziałam cała w nerwach i słuchałam.

Była Pani w Polsce między sierpniem '80 a stanem wojennym?

Byłam rok wcześniej. W czasie pobytu Ojca Świętego w 1979 r. Na pl. Zwycięstwa. To był wielki powiew wolności. Nagle ludzie stali się dla siebie przyjaźni, przestali być podejrzliwi. Byłam też w Polsce w osiemdziesiątym roku. Moja była hufcowa z Londynu, Hanna Grabińska, która wróciła do Polski w latach sześćdziesiątych, zaczęła działać w Solidarności i odpowiadała za sprawy socjalne w regionie Mazowsze. Pokazała mi wielki plik

listów z prośbami i mówi: – Popatrz, tych ludzi trzeba jakoś ubrać i wyżywić. Zrób coś z harcerkami. Wróciłam i zaczęłyśmy zbierać odzież, środki czystości, żywność. Wysłałyśmy jeden kontener w osiemdziesiątym pierwszym roku.

Kiedy powstała Fundacja Medical Aid for Poland?

Wszystko zaczęło się od listu od Lecha Wałęsy, który okrezną drogą, przez Kongres Polonii Amerykańskiej, przyszedł do Zjednoczenia Polskiego w Anglii. Była w nim prośba, żeby zakładać banki leków na ratunek, bo Solidarność odkryła straszne braki w polskiej służbie zdrowia. Prezes Zjednoczenia, inż. Artur Rynkiewicz, którego znałam wcześniej, wiedząc, że jestem lekarzem i angażuję się społecznie, zaprosił mnie na spotkanie z inż. Jarosławem Żabą, przewodniczącym tzw. Polonii Jutra. Ustaliliśmy, że trzeba powołać komitet z udziałem różnych organizacji. Komitet zebrał się 12 września 1981 r., potem 26 września. W spotkaniach uczestniczyli m.in.: Misja Katolicka, Stowarzyszenie Kombatantów, Związek Lekarzy, Zjednoczenie Polek i inne. Zdecydowano, że trzeba powołać fundację i ja powinnam być przewodniczącą, ponieważ najwięcej mówiłam, miałam doświadczenie z tym przesłanym kontenerem i byłam lekarzem. Tak powstała Fundacja Medical Aid for Poland. No i tak ciągniemy do dziś.

To było tuż przed stanem wojennym. W jaki sposób Fundacja rozpoczęła działalność z takim rozmachem?

Szykowała się debata w Izbie Lordów, gdzie Lord Harris of Greenwich miał zadać pytanie, co rząd brytyjski robi, żeby pomóc Solidarności i Polsce. Ktoś polecił mu rozmowę ze mną na tematy medyczne. Zaprosił mnie do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Wszystko mu powiedziałam. Potem ku mojemu zdumieniu na debacie w Izbie Lordów on to słowo w słowo powtórzył. Pod koniec debaty Lady Ryder of Warsaw, czyli Sue Ryder, powiedziała, że jej zdaniem powrót Polski do normalności zajmie co najmniej pięć lat. Ona miała doświadczenie, od lat działała w Polsce. Mnie serce stanęło, ja myślałam, że dwa, trzy miesiące podziałamy i wrócimy do normalności. Po czterdziestu dwóch latach to już jest nasza normalność... Po debacie ruszyły media i zaczęły się sypać dary. Na początku zabierałam je do domu. Moje mieszkanie było zapchane po sufit. Potem ktoś nam ofiarował część mieszkania w centralnym Londynie. Na dole zbieraliśmy paczki, a na górze było biuro. Nazbieraliśmy darów na trzy trzydziestotonowe tiry.

Pierwszy transport gotowy, a nad Polską zapada kurtyna stanu wojennego. Podróż do kraju była zwyczajnie niebezpieczna.

Byliśmy młodzi, pełni entuzjazmu, to był dla nas niepodległościowy zryw. Robiliśmy to dla Polski. Pod koniec stycznia załadowaliśmy te trzy tiry. Kiedy nie chcieli nam dać wizy do Polski, to jeden z brytyjskich znajomych zadzwonił do konsulatu PRL i powiedział, że albo wiza, albo rozładujemy te tiry na progu konsulatu i wołamy BBC. Dali nam wizy i zaprosili mnie do konsulatu na rozmowę. Myśmy tam raczej nie chodzili. Od początku stanu wojennego wszystkie grupy solidarnościowe protestowały pod polską ambasadą. Chodziłam do tego konsulatu i tak na bezczelnego wypisywałam formularze i podpisywałam za kierowców i wszystkich innych i oni to przyjmowali. Oczywiście dokumentacja musiała być niesamowita – wszystko trzeba było składać w trzynastu kopiach.

Skąd wiedzieliście, gdzie jechać?

Między innymi przez druhnę Hankę Grabińską. Kiedy wysyłaliśmy ten pierwszy kontener i potem jeszcze coś, to ona napisała, że gdyby nie mogła sama odebrać, to u niej w parafii jest młody ksiądz rezydent, który też zajmuje się pomocą. Nazywa się Popiełuszko i można na niego adresować. Kiedy pierwszy raz jechaliśmy tymi tirami, to na granicach szło nieźle, bo oni byli jeszcze zdezorientowani. Była zima. Przyjechaliśmy do Poznania. Wjechaliśmy na Ostrów Tumski trzema tirami po 30 ton... A ja widzę, że jest znak, że nie można powyżej trzech ton. Mój Boże, cała polska historia się zatopi przez tę naszą pomoc. No ale jakoś przeżyliśmy. Później jedna koleżanka pojechała do Bydgoszczy, a ja z Joanną ruszyliśmy do Warszawy i tam spotkałyśmy się z ks. Jerzym i druhną Hanką. Rozładowaliśmy to, co było na Warszawę, i zastała nas godzina milicyjna. Zostaliśmy więc na noc u ks. Jerzego Popiełuszki. Przegadaliśmy prawie do rana. To było moje pierwsze spotkanie z księdzem. Opowiadał, co się dzieje w Polsce, jak ze strażakami Msze odprawiał, jak działał z hutnikami, mówił bardzo wiele. On był niesamowicie szczodry. Tylko patrzył, co by komu ofiarować. Dał mi swój obrazek prymicyjny. Rano odprawił Mszę św. Przy ołtarzu był tak uduchowiony... Kiedy wracaliśmy, co parę kilometrów nas legitymowali. Mieliśmy papiery i papierosy do rozdawania, to pomogło. Uśmiełam się, jak w Krakowie mówili o nas: – Taki wielki samochód i baba za kierownicą. A to był angielski samochód – kierownica była po prawej stronie. Wszystko zawierzyłam Matce Bożej na Jasnej Górze i ta akcja jakoś dalej szła i idzie.

To był pierwszy transport, potem przyjechało jeszcze prawie dziewięćdziesiąt...

Jeździliśmy często. Czasem było ciężko i kazali nam rozładować wszystko na granicy w Świecku czy gdziekolwiek. Podczas tego pierwszego wyjazdu spotkałam się w Kato-

wicach z bp. Czesławem Dominem, który był przewodniczącym Komisji Charytatywnej Episkopatu Polski. Od tej pory wszystko załatwialiśmy przez niego. Z tego powodu robili nam też problemy z wizami – że po co wszystko przez biskupa, że może przez Czerwony Krzyż wysyłać. A myśmy dzięki biskupowi przez diecezje docierali do całej Polski, bo dostawialiśmy informacje, gdzie są punkty odbioru. Później między bp. Dominem a Jaruzelskim była umowa, że możemy korzystać z PKS-ów, które wracały z Zachodu, bo szedł jednak jakiś eksport z Polski. Nic nie przemyśleliśmy, wszystko było legalne i zgodne z dokumentacją. Dla nas najważniejsze było dowiezenie pomocy. Jeździliśmy co dwa tygodnie i w samym stanie wojenny przesłaliśmy dziewięćdziesiąt tirów trzydziestotonowych. W ciągu szesnastu lat było ich 335.

Jak zbieraliście dary?

Na początku to był wielki zryw. Wszyscy zbierali pomoc w miasteczkach, we wsiach i wysyłali, często bez naszego wsparcia. Potem coraz więcej organizacji przyłączało się do nas. Były grupy polskie, były angielskie, w Anglii, Irlandii, Szkocji. Jeździliśmy po rzeczy po całej Wielkiej Brytanii.

W Waszej pracy mieliście wsparcie rządu brytyjskiego, jeździła z Wami nawet baronessa...

Baroness Caroline Cox była wicemarszałkiem Izby Lordów. Jej ojciec był jednym z najważniejszych chirurgów, a ona chciała służyć ludziom wprost – i została pielęgniarką. Zawsze była przychylna i Polsce, i działalności społecznej. Zgodziła się zostać naszym patronem. Nie chciała być tylko patronem na papierze, ale coś robić, i jeździła jako pilot z transportami. Była osiem razy, przyjaźniła się z jednym z polskich kierowców z PKS-u. To była świąteczna ciężarówka, on myślał, że to przyjdzie baronessa w futrze, przetnie wstążeczkę, pokropi szampanem i pojedą. A tu w dresach mu się ładuje do kabiny kobieta i każe ruszać. Ona bywała też u ks. Popiełuszki.

Wiele razy spotykała się Pani z ks. Popiełuszką?

To był przyjaciel od pierwszego wejrzenia. Zawsze kiedy byłam w Warszawie, to działałam się z księdzem. Bardzo blisko współpracowaliśmy. Nie tylko ja. U ks. Jerzego szczególnie często bywały moje współpracowniczki, panie z Powstania Warszawskiego. Przyjechałam kiedyś latem. Ksiądz miał na sobie o wiele za duże sandałki i mówi, że je obetnie. Ja mówię: – Nie obcinaj, bo zniszczysz, potkniesz się, jak będziesz szedł

do ołtarza, i jak to będzie wyglądało? Mówię, że mu załatwię nowe. On oderwał jakiś kawałek kartonu z paczki z darami i odrysował stopę. Kupiłam mu sandały w Londynie i wysłałam. Napisał potem, że już sandały biegają. Moje ostatnie spotkanie z księdzem było w 1983 r. Opowiadał mi, jak funkcjonariusze, którzy przychodzili kontrolować Msze za Ojczyznę, po czterdziestu latach od ostatniej spowiedzi potrafilo zapukać do jego pokoju uklęknąć i się wyspowiadać. Mówił, że gdyby nie ten wymiar duszpasterski, to on by tego nie robił. W następnym roku już nie mogłam pojechać, bo po wizycie w Krakowie u ks. Kazimierza Jancarza SB przysła do moich krewnych mieszkających w Polsce. Nie chciałam ryzykować i na jakiś czas przestałam jeździć. Hanka Grabińska mówiła, że ksiądz Jerzy chodzi w poniszczonej sutannie. Kupiłam w Londynie materiał. Potem dostałam wiadomość, że sutanna jest uszyta i że ksiądz ją ma. Kiedy ksiądz został porwany, to cały czas huczało o tym angielskie radio. Każdy słyszał to nazwisko. Zawsze kiedy jestem w Warszawie, to przyjeżdżam na Żoliborz. Kiedyś ksiądz proboszcz mi powiedział, że zwrócono sutannę księdza Jerzego, w której go odnaleziono. To było już dłuższy czas po śmierci. Wyjął ją z seflu, jak jej dotknęłam, to wiedziałam, że to jest ten materiał. Już wtedy wiedziałam, że dotykam relikwii.

Czy Londyn, Anglia, to pani Ojczyzny, czy tylko miejsce zamieszkania?

To moje miejsce zamieszkania. Nigdy nie czułam, że to jest moja Ojczyzna. Kiedy kupowałam dom w Londynie, to miałam takie mieszane uczucia, że ja się utwierdzę na tej ziemi, ale z drugiej strony ja nic nie mam w Polsce. Rodzice pochowani są tutaj. Ja też mam tu miejsce wykupione. Tak więc zostaną chyba tu.

Czym dla Pani jest Polska?

To jest mój kraj. Mój kraj. Ja zawsze mówię, że jestem Polką. Kiedy byłam w Ameryce na stażu, to mnie pytali: – Skąd jesteś? Urodziłam się w Palestynie, mieszkam w Londynie, studiuje w Dublinie, pracuję w Ameryce, ale pamiętajcie, ja zawsze jestem Polką. Oficjalnie od dawna jestem na emeryturze, jednak Fundacja wciąż działa, ciągle niesiemy pomoc. Jest taka przedwojenna piosenka... Znacie ją? „...Mieć przed sobą świat, i mieć wciąż dwadzieścia lat...”. Ja naprawdę się nie czuję na więcej, jak połowę tego, co mam...



Paweł Kęska (ur. 1976) – dziennikarz, teolog, historyk sztuki, manager kultury, pracownik Muzeum i Ośrodka Dokumentacji Życia i Kultu Błogosławionego ks. Jerzego Popiełuszki w Warszawie. Autor cyklu audycji „Wywiad z Człowiekiem” w Radiu Warszawa i na kanale spotify. Autor książki: *Zawsze głosiłem prawdę. Nauczanie społeczne w wypowiedziach księdza Jerzego Popiełuszki. Wybór źródeł* (2023) i in.